

Radosław Stefanek

KRONIKA LISIECKICH

Streszczenie: Kronika rodzinna Lisieckich spisana w pierwszej połowie lat 40. XX w. Jej autorem jest architekt Julian Lisiecki. Tekst obejmuje dzieje rodziny od lat 80. XIX w. do lat 20. XX w. Autor wspomina w sposób epizodyczny kilka wydarzeń wcześniejszych, m.in. udział rodziny Lisieckich w powstaniu styczniowym. Dodatkowo tekst zawiera wywód genealogiczny dotyczący matki autora Praksedy z Kościelskich.

Słowa kluczowe: Mateusz Lisiecki, Julian Lisiecki, Droga Żelazna Warszawsko-Wiedeńska, Terebeżów, Michaił Troicki, Jan Nitowski, płk Pystor, płk Koc, Jeremicze.

Summary: The Lisiecki family chronicle written in the first half of the 1940s. Its author is the architect Julian Lisiecki. The text covers the history of the family from the 1880s to the 1920s. The author episodically mentions several earlier events, including: participation of the Lisiecki family in the January Uprising. Additionally, the text contains a genealogical argument about the author's mother, Prakseda Lisiecka, maiden name Kościelska.

Keywords: Mateusz Lisiecki, Julian Lisiecki, The Warsaw-Vienna Railway, Terebezhów, Michaił Troicki, Jan Nitowski, Colonel Pystor, Colonel Koc, Jeremicze.

Prezentowany przeze mnie tekst źródłowy otrzymałem w 2023 r. od Simona Lisieckiego. Zawiera on autobiograficzne opowiadanie o życiu jego dziadka Juliana Lisieckiego, wzbogacone o wątki dotyczące dawniejszych wydarzeń – udziału jego rodziny w powstaniu styczniowym. Ponadto zamieszczono w nim wywód genealogiczny matki Juliana, Praksedy z Kościelskich. Historia prezentowana na kartach *Kroniki z czasów mojej młodości* nie tylko przywraca pamięć o tej zasłużonej dla miasta rodzinie, ale pomaga też wyprostować kilka zakrętów lokalnej historii. Ponadto można odnieść wrażenie, że losy Lisieckich to rodzinna opowieść podobna do tych, jakie możemy w naszym mieście usłyszeć do dziś. Biorąc pod uwagę jedynie główne wątki, widzimy obraz ludzi przybywających do miasta „za pracą”, którzy wiążą swoje losy na lata z koleją, zajmują się profesjonalnie ogrodnictwem, publikując teksty w fachowych pismach. Tu trzeba wspomnieć o Mateuszu Lisieckim, ojcu Juliana. Ten weteran powstania styczniowego, lecząc rany w klasztorze w Solcu nad Wisłą, zostaje pasjonatem ogrodnictwa, którego tajników

uczy się od zakonników. Przez lata rozwija swoją pasję i zakłada wspaniały ogród. Do kręgu jego zainteresowań dołącza wkrótce pszczelarstwo. Śladem po tej pasji są liczne teksty w „Ogrodniku Polskim”, zawierające zarówno fachowe porady dotyczące uprawy roślin ozdobnych i drzew owocowych, jak i omówienia konkretnych zagadnień, jak np. przemarzanie róż ozdobnych. Do dziś przy ulicy Bielańskiej, gdzie niegdyś stała willa Lisieckich, możemy odnaleźć relikty dawnego ogrodu w postaci różnych nietypowych nasadzeń, zwłaszcza roślin miododajnych. Również willa zawiera setki wspomnień skierniewiczian. Według legendy zaprojektował ją sam Adam Idźkowski. Jest to prawdopodobne, chociaż nie odnalazłem jeszcze dokumentów mogących to poświadczyć. W okresie PRL, kiedy dom został przejęty przez państwo, po emigracji Lisieckich do RPA, przez lata mieściło się w nim przedszkole. Jest też kilka ciekawych zagadnień nieopisanych w kronice, a które są na tyle interesujące, że można pokusić się o ich osobne opracowanie. Julian Lisiecki, będąc z zawodu architektem, wziął udział w opracowaniu kompleksowego planu modernizacji i przebudowy Skierniewic w latach 30. XX w. Ówczesny burmistrz Franciszek Filipowski zatrudnił spółkę geometry przysięgłego inżyniera Józefa Górskiego oraz architekta Jana Łukasika do zaprojektowania nowej siatki ulic oraz zmodernizowania istniejącej. Julian Lisiecki został zatrudniony w tym przedsięwzięciu przez magistrat w roli specjalisty opiniującego przedłożone plany. Niestety prace przerwał wybuch wojny. Na podstawie zachowanych rysunków można przypuszczać, że część zaproponowanych wówczas rozwiązań urbanistycznych została zrealizowana w okresie PRL. Julian Lisiecki, chociaż nie napisał o tym ani słowa w swojej opowieści, miał doświadczenie w takich przedsięwzięciach. Był jednym z architektów zatrudnionych do przebudowy dawnej twierdzy brzeskiej na potrzeby cywilne. Warto ten wątek zbadać kompleksowo, ponieważ dziełnictwo Lisieckich może być dużo bardziej obecne w naszym codziennym życiu, niż nam się wydaje. Ostatnim zagadnieniem, które wiąże się z rodziną, jest temat kart pocztowych. Kolekcjonerzy doskonale znają pocztówkę zatytułowaną *Willą w Skierniewicach* z początku XX w. Powszechnie uważa się, że przedstawia ona willę Aleksandrię, czyli tzw. pałacyk myśliwski w parku. Bardzo możliwe jednak, że jest to willa Lisieckich. Zdjęcie rodzinne wykonane w ogrodach posesji wygląda niemal jak wycięte ze wspomnianej pocztówki. Chociaż bezpośrednich dowodów na to nie ma, to jest to bardzo obiecująca poszlaka do zbadania. Podobnie jest z kartą pocztową z wizerunkiem cerkwi w Sosnowcu, również z tego samego okresu. Jedno z jej wydań jest błędnie opatrzone lokalizacją Skierniewice. Może błąd popełniła siostra Juliana, Kamila, która w Sosnowcu prowadziła na stacji „Granica” sklepik papierniczy. Była ona również fotografką i wydawała karty pocztowe. Być może to ona pomyliła kliszy z nazwą miejscowości podczas przygotowywania pocztówki.

KRONIKA Z CZASÓW MOJEJ MŁODOŚCI*

(Dla dzieci moich, a może wnuków spisana)

Urodziłem się 28 I 1881 r. w Aleksandrowie na Kujawach. Ojciec mój Mateusz, syn Antoniego i Tekli ze Skorupskich, pochodził z zaścianka¹ szlacheckiego Liszki, pow. bialski na Podlasiu. Dziadek mój bił się pod Grochowem, a Ojciec mój, jako młody chłopiec, brał udział w powstaniu pod Langiewiczem², ranny ukrywał się w klasztorze w Solcu³, gdzie czas jakiś jeszcze po wygaśnięciu powstania przebywał. Ojciec mój posiadał brata Feliksa, z którym razem byli w powstaniu, mechanika w fabryce Rudzkiego⁴, żonatego z Teofilą z Cerańskich, działaczką katolicką w okresie prześladowań unitów⁵, za co była przez moskali więziona.

Matka moja Praksesta z Kościelskich pochodziła z poznańskiego. Rodzice moi nie utrzymywali stosunków z rodziną matki. Rzecz się miała tak: dziadkowie musieli ze sobą źle żyć. Dziadek mieszkał u syna na wsi, a babka z moją Matką w Warszawie na Rynku Starego Miasta 24, w domu wujostwa Cybulskich. Matka moja wychowała się nie w Śmielowie⁶, a w Warszawie, częściowo zaś na wsi u Cybulskich. Jak widać z załączonego wyciągu *Złotej księgi...*, Kościelscy robili „fason”. Cały wyciąg świadczy, że był dobrze zapłacony i grzeszy szeregiem niedomówień, sprzeczności i naciągania. Niestety nie widać w przytoczonych rodowodach ani rycerzy, ani duchownych, ani uczonych. Nie widać dowodów zasług dla Ojczyzny, tego nawet za pieniądze nie dało się sfabrykować. Zamażpójście mojej Matki za „jakiegoś Lisieckiego” nie mogło zaimponować Kościelskim, szczególnie w okresie rozpoczętej kariery na terenie Berlina, to też gdy przyszedł moment spłaty posagu mojej Matki, wykwitowali Ją z „fasonem” sumą 15 000 rubli, co było na tyle skandaliczne, że można było się albo procesować, albo wziąć pieniądze i na zawsze stosunki zerwać. Tak też się stało.

* W tekście *Kroniki...* zachowano oryginalną pisownię (red.).

¹ W dawnej Polsce wieś zamieszkała przez ubogą szlachtę, często nieposiadającą chłopów, niekiedy samemu uprawiającą swoją ziemię, *Encyklopedia PWN*, <https://encyklopedia.pwn.pl/haslo/zascianek;4000577.html> [dostęp: 19.07.2024].

² Marian Langiewicz, generał (ur. 1827 r., zm. 1887 r.) drugi po Ludwiku Mierosławskim dyktator powstania styczniowego od 11.03.1863 r. do 18.03.1863 r. *Dzieje.pl*, <https://dzieje.pl/postacie/marian-langiewicz-1827-1887> [dostęp: 19.07.2024].

³ Kościół św. Stanisława bp m. i klasztor oo Franciszkanów Reformatów wybudowany w 1626 r., skasowany przez władze rosyjskie w 1864 r. Obecnie kościół filialny parafii pw. Wniebowzięcia NMP w Solcu nad Wisłą, Diecezja Radomska, <https://diecezja.radom.pl/solec-n-wisla-parafia-pw-wniebowziecia-nmp> [dostęp: 19.07.2024].

⁴ Towarzystwo Przemysłu Metalowego „K. Rudzki i Spółka” S.A. Wytwórnia maszyn i konstrukcji żelaznych w Warszawie przekształcona z założonej w 1858 r. odlewni o nazwie „Gisernia K. Rudzkiego i Spółki przy Warsztatach Żeglugi Parowej w Warszawie”, *Encyklopedia PWN*, <https://encyklopedia.pwn.pl/haslo;/3988453> [dostęp: 19.07.2024].

⁵ Planowo zorganizowane prześladowania unitów chełmskich i podlaskich przez władze rosyjskie, po upadku powstania styczniowego w 1864 r., zakończone likwidacją ostatniej diecezji unickiej w 1875 r.

⁶ Śmielów wieś w Polsce położona w województwie wielkopolskim, w powiecie jarocińskim, w gminie Żerków.



Fot. 1. Julian i Jadwiga Lisieccy na balkonie domu rodzinnego w Skierniewicach przy ulicy Bielańskiej. W tle zabudowania tartaku Nielubowiczów.

Album rodzinny Lisieckich ze zbiorów Simona Lisieckiego.

Wyciąg z herbarza: *Złota księga szlachty Polskiej* Teodora Żychlińskiego⁷ (członka król. włoskiej akademii heraldyczno-genealogicznej w Pizie)

Z Rocznika IV. Kościelscy herbu Ogończyk:

Po kilkakrotnie już w „księdze” niniejszej zwracaliśmy uwagę na wspólność rodu starożytnego Domu wielkopolskiego Kościelskich herbu Ogończyk, którzy, wydawszy z pośród siebie dwóch Biskupów, dwudziestu kilku wojewodów i kasztelanów, już w początku XVII w. zeszedli z szerszej widowni, ustępując bratniej gałęzi Działyńskich, pierwszorzędną rolę w Rzeczypospolitej i zwykłym najświetniejszych nawet rodów losem rozplynęli się w tłumie, choć pono jeszcze istnieją w zapomnieniu ich potomkowie, sięga tak dalekiej przeszłości, mgłą wieków zamroczonej, iż wątpimy, aby przy dzisiejszym stanie naszych archiwalnych źródeł, przy największej staranności i najpilniejszych badaniach, dała się ona na niezbitych dowodach ugruntować, a tem mniej można było wyczerpujący i jasny, od najdawniejszych czasów, wynieść ich rodowód i oznaczyć dokładnie ich odgałęzienie.

⁷ Teodor Żychliński (ur. 1836 r., zm. 1909 r.) – polski heraldyk i dziennikarz. Współautor 31-tomowej *Złotej księgi szlachty polskiej* wydanej w latach 1879–1908, zawierającej 521 monografi genealogicznych rodzin szlacheckich, red. A. Gąsiorowski, J. Topolski, *Wielkopolski słownik biograficzny*. Warszawa-Poznań 1981, s. 890.

Ta sama zatem niepewność zachodzi i przy Kościelskich, piszących się od wieków z Kościoła, tem bardziej, że ów Kościół (dziś Kościelna Wieś położony również jak Kościelec na Kujawach), przez wydawców dawnych dyplomatów mieszany jest, zdaniem naszym, nie dość uzasadnienie, z tymże Kościelcem. Wspólność jednakże herbowa, bliskie stosunki łączące Kościeleckich z Kościelskimi w początku XVI stulecia, rozmaite dalej układy, w których później Działyńscy pozostawali z Kościelskimi, zowi ich w aktach urzędowych pokrewnymi, przede wszystkim zaś mieszanie owo w dyplomatach nazw gniazd rodzinnych, Kościoła z Kościelcem, uprawniając nas do twierdzenia, że obie rodziny z jednego i tego samego wyszły. Kościół, dziś Kościelna Wieś, leży w powiecie wrocławskim, na drodze z Osiecin do Służewa i dotąd posiada bardzo starożytny kościół. Według podań miał Piotr Duńczyk (Dunin) wznieść kościół z polowego kamienia czy też przerobić go z pogańskiej świątyni. Stąd wnosimy, że w dawnych dokumentach zachodząca nazwa „*Ecclesia lapidea*” do tego gniazda Kościelskich się odnosi. Pierwotnie stała świątynia całkiem odosobniona i dopiero z czasem utworzyła się obok niej osada, która Kościoła przybrała nazwisko i od początku XIV aż do początku XVI stulecia, co poświadcza Sobieszczański, była w posiadaniu Kościelskich, do których przeszła przez kądziel.

Pierwotnym właścicielem Kościoła był, o ile mogliśmy zaczerpnąć z dyplomatów:

Sędziwój vel Sando z Kościoła, żyjący około roku 1170, którego syn Krystyn vel Czeslaus występuje w nadaniu opactwa Czerwińskiego przez księcia mazowieckiego Konrada z roku 1222 jako jeden z przedniejszych panów jego otoczenia. Tegoż Krystyna syn:

Dobiesław, hrabia (comes) na Kościele i na Łęgu, jak go tytułuje Władysław Łokietek, zatwierdzając dekretem, datowanym z Kalisza w roku 1297 darowiznę wsi Łęgi, położonej nad Wisłą w województwie brzesko-kujawskim w parafii wrocławskiej, uczynioną przezeń klasztorowi w Łędze, pozostawił tylko córkę, która wyszedłszy za mąż za Zyrosława herbu Ogończyk, wniosła mu Kościół w wianie. Okazuje się to ze skargi, jaką w roku 1316 wytaczają Cystersi z Łądu przed Władysławem Łokietkiem temuż Zyrosławowi zięciowi nieżyjącego już wówczas Comesa Dobiesława z Kościoła, o najazd i wydarcie im wsi Łęgi, darowanej mu przez teścia w roku 1297. Czyby Zyrosław pochodził z tej samej rodziny, co poprzedni trzej właściciele Kościoła i Łęgu, niepodobna nam było dociec: wszakże od niego wywodzą się wprost Kościelscy, których protoplastą po kądzieli był wspomniany wyżej Sędziwój z Kościoła, pierwszy tej osady znany z dyplomatów właściciel.

Zyrosław (I pok.) poślubiwszy córkę Comesa Dobiesława i odziedziczywszy z nią Kościół, pisał się odtąd panem na Kościele, wskutek czego potomkowie jego, zwyczajem u nas przyjętym, wzięli nazwę Kościelskich.

I gałąź starsza.

Wojciech (VIII pok.) pan na Bodzianówku i Poczerninie poślubił z kolei dwie siostry Ostromeckie herbu Pomian, Zofię, z którą żył bezdzietnie. Syn Wojciecha starszy Stanisław prowadził dalej szczepek główny, po Władysławie idzie młodsza starszej gałęzi odnoga...

Władysław (IX pok.) młodszy syn Wojciecha i Zofii Ostromeckiej już nie żył w roku 1686, bo synowie jego Ignacy i Wojciech, w imieniu małoletniego rodzeństwa: Marcina, Franciszka, Waleriana, Maryanny, Konstancji, Katarzyny i Małgorzaty procesują się z matką swą Anną z Kalińskich herbu Jelita, która I-primo voto wyszła za Kazimierza Dembickiego herbu Gryf, o przynależny im po ojcu majątek. Z tak liczного potomstwa Władysława tylko losy Wojciecha i Marcina są nam znane, reszta wskutek właśnie tego procesu z własną matką i ojczymem rozpięzchła się po świecie.

Potomstwo Marcina.

Marcin (X pok.) drugi syn Władysława i Anny Kalińskiej regent ziemski poznański.

Franciszek (XI pok.) dzierżawca dóbr Budziejewa, podpisujący się w aktach, podobnie jak pokrewny mu kasztelan bydgoski „Kościółowski”.

- a) Antoni (XII pok.) najstarszy syn Franciszka z drugiej żony Konstancji Czekanowskiej poślubił w roku 1788 Teresę Piekarską herbu Dębno, córkę Antoniego z Anny Bułakowskiej, wszakże nie ma śladu, aby z nią miał potomstwo.
- b) Stanisław (XII pok.) drugi syn Franciszka z trzeciego małżeństwa urodzony około roku 1765 w Goli pod Gostyniem kwituje w swoim i siostry swej Franciszki imieniem w roku 1790 w grodzie poznańskim z otrzymanej po Michale Obarzankowskim sukcesji. Miał za sobą I-primo voto Nakąsinówską herbu Nałęcz. Z tego małżeństwa syn Jan Nepomucen. Po wtóre poślubił N. Lniską herbu Ostoja, z której córka Maryanna za Walerym Raszewskim herbu Grzymała.

Jan Nepomucen (XIII pok.) ur. w maju roku 1796 zamieszkały u syna w Smielowie pod Szamotułami, ożeniony z Kornelią Zerońską zmarłą w roku 1872, z której pozostawia trzech synów i trzy córki (XIV pok.):

- 1) Bolesław dziedzic Smielowa w Szamotulskim i Brzezna w Czarnkowskim, ożenił się z siostrą cioteczną Stanisławą z Zerońskich córką Leona i Antoniny z Suchorzewskich. Dzieci: Tadeusz (XV pok.) ur. 1861 – Mieczysław, Antoni, Bolesław, Marja i Jadwiga
- 2) Adam (XIV pok.) dziedzic dóbr Sepno w Kościańskim, ożeniony z Zofją Niezychowską. Dzieci: Czesław (XV pok.) ur. w roku 1877 i Władysław w roku 1870.
- 3) Kamilla, zaślubiona Dr. Henrykowi Szumanowi, dziedzicowi dóbr Władysławowa w Czarnkowskim, długoletniemu prezesowi Koła Polskiego w Berlinie, prezesowi Tow. Centr. Rolniczego na W. Ks. Poznańskie.
- 4) Józefa za Władysławem Święcickim dziedzicem Gradowic w Kościańskim.
- 5) Prakseda poślubiona Mateuszowi Lisieckiemu.
- 6) Antoni ur. 1836 poległ pod Mieczownicą 2 marca 1863 r.

Byłem najmłodszym z siedmiorga rodzeństwa, z czego zostało nas przy życiu dwoje: Ja i Siostra moja Kamilla. W drugim czy trzecim roku mego życia rodzice przenieśli się do Skierniewic, gdzie Ojciec mój dzierżawił bufet na kolei wiedeńskiej. Zajęcie to było intratne na tyle, że dawało Mu zupełną niezależność i pozwalało na odkładanie pieniędzy, które Ojciec mój lokował, skupując działki ziemi i zakładając sławny, na owe czasy, ogród.

Zamiłowanie mego Ojca było reminiscencją dawnego własnego zagona rodzinnego i pobytu w klasztorze, gdzie nauczył się ogrodnictwa.

Bodaj, że w piątym roku życia przechodziłem ciężką szkarlatynę, która mgłą przykryła wszystkie wrażenia i wspomnienia dzieciinne i która odsłoniła się dopiero silnym wstrząsem, jakim był wypadek mego, starszego o rok, brata Stanisława. Trzymając spinke w ustach, podczas ubierania się rannego, krzyknął, zobaczywszy, po dłuższym niewidzeniu Matkę, wchodzącą do pokoju. Spinka wpadła w kanał oddechowy, ale nikt nie umiał ratować, nie wiedząc, co było powodem omdlenia i utraty przytomności dziecka. Nim sprowadzono lekarza, chłopiec nie żył. Wypadek ten pamiętam w najdrobniejszych szczegółach i jest to pierwsze wspomnienie – jakież smutne. Potem dłuższy czas nic się nie działo, tylko pamiętam piękny głos i pieśni śpiewane przez moją wychowawczynię Martę Cerańską. Pieśni te głęboko zapadły mi w duszę.

Tak tedy dzieciństwo moje smutnie się zaczęło i smutnym było do końca. Jakież inne by było, gdyby brat mój żył. Przyszedł czas nauki i muszę zanotować niejakiego pana Ignacego Oszmanowicza. Dziś jeszcze pamiętam podróże po mapie pogładowej polski, początek to widać był mojej włóczęgi.

Zbliżał się dziewiąty rok życia, a z nim pora wstąpienia do gimnazjum. W Warszawie były 4 gimnazja filologiczne i jedno realne, oraz 2 szkoły prywatne, bez praw, z programami realnymi. Wybór nieduży, ale i trudności dostrzania się nadzwyczajne. Protekcja albo łapówki.



Fot. 2. Ojciec Juliana, Mateusz Lisiecki
w ogrodzie swojego domu przy Bielańskiej.
Album rodzinny Lisieckich ze zbiorów Simona
Lisieckiego.

PRZYPADEK ZDECYDOWAŁ O MOIM LOSIE

Na wakacjach pod Skierniewicami bawił u jednego z ziemian dyrektor 2 gimnazjum, wraz z rodziną (taka skromna łapówka).

Miał do dyspozycji dane parę koni, które z wozem wysłał po coś do Skierniewic. Konie młode, przestraszyły się, rozbiegły, urwały podwozie

i popędziły ulicą w stronę dworca kolejowego, w tym czasie, gdy ja z Ojcem moim jechaliśmy bryczką zaprzężoną w naszego kochanego kasztanka. Szalone konie zderzyły się z nami pod prostym kątem, dyszel przebił kasztanka na śmierć, bryczka potłukła się w kawałki, a spod niej wyszliśmy z Ojcem moim nawet bez siniaków.

W kilka dni potem wizyta kondolencyjna pana dyrektora, który zapomniał zupełnie o odszkodowaniu za konia, ale przypomniał sobie, że kiepsko, ale mówi po polsku, bo rodzice moi znów ani słowa po rosyjsku nie mówili. Zostałem w pewnym momencie przywołany, przedstawiony, podobałem się, no i nastąpiło zapewnienie gotowości przyjęcia mnie, po wakacjach, do klasy wstępnej 2 gimnazjum. To się nazywało wygrany los.

Dla mnie to szczęście było początkiem ciężkich lat i przekreśleniem dzieciństwa. Do 2 gimnazjum na Nowolipkach chodziłem 2 lata. Przez ten czas byłem na trzech stancjach, z których co jedna to była gorsza. Dwie zmiany były zrobione na żądanie władz szkolnych, bo wszystkie stancje były pod kontrolą tzw. klasowych gospodarzy, oczywiście Moskali. Odległości były olbrzymie. Tramwaj konny chodził Marszałkowską, Królewską, Krakowskim Przedmieściem, Podwalem do Długiej. Nogi miałem poobcierane i przemrożone. Ale ważniejsze to to, że w klasie wstępnej uczyłem się dobrze i dostałem promocję, a w drugim roku byłem ostatnim osłem. Nie pomogły ani „lania” ani korepetycje narzucane przez pana „gospodarza”. Chodziło o grubszą łapówkę, której ojciec mój nie chciał dać. Ostatecznie miałem dostać promocję pod warunkiem przyjęcia przez moich rodziców na kondycję studenta, korepetytora-Moskala. Miał by on mieszkać u nas w domu. Tego było memu ojcu dosyć i z gimnazjum mnie odebrał, a ja dostałem ostatnie już w życiu „lanie”. Tak skończyła się nade mną opieka dyrektora Troickiego⁸.

Oddano mnie do szkoły prywatnej, „bez praw” Wojciecha Górskiego⁹. Była to szkoła renomowana, wybudowana jako gmach specjalny i wyposażona przez Kupców Polskich. Gmach posiadał też urządzenia na internat na 100 chłopców. Istnieje do dziś dnia jako gimnazjum państwowe, a uczniowie chodzą w tych samych czapkach z zielonymi lampasami. Spotkanie ucznia-ka w tej czapce wzrusza mnie dziś, po latach, i łapałem się na wrażeniu, że to idzie jakiś mój mały kolega, jak gdybym się cofnął o 50 lat.

Na internacie, gdzie mnie rodzice umieścili, byli przeważnie synowie ziemian i łódzkich fabrykantów. Opłaty były bardzo wysokie. Przychodnie elementy składały się z żydów, którzy mieli utrudniony wstęp do szkół rządowych, różnych wypędków, i naszej inteligencji zawodowej. Do czwartej klasy uczyłem się „znów” wzorowo, a w czwartej, jak historii Rosji zaczął wyklądać ten

⁸ Michał Mefodicz Troicki, dyrektor II Gimnazjum w Warszawie, znany ze swojej bezwzględnej działalności rusyfikacyjnej. Jego postać stała się pierwowzorem dyrektora Kriestobriadnikowa z powieści Stefana Żeromskiego *Syzyfowe prace*. J. Kądziela, *O genezie „Syzyfowych prac”*, „Pamiętnik Literacki: Czasopismo Kwartalne Poświęcone Historii i Krytyce Literatury Polskiej” 1965, 56/1, s. 8.

⁹ Placówka pierwotnie założona jako 4-klasowa Szkoła Realna, przekształcona później w Gimnazjum Wojciecha Górskiego w Warszawie, następnie Gimnazjum pod wezwaniem św. Wojciecha w Warszawie, J. Lasocki, *Jednodniówka jubileuszowa 1877–1937, 1912–1937*, Warszawa 1937, s. 9.

sam Sokołów, przez którego musiałem opuścić II gimnazjum, promocji nie dostałem. Ale to się jakoś załatwiło, po wakacjach, bo mój prześladowca, szczęściem, zniknął z horyzontu. Z pobytu u Górskiego nie wyniosłem ani jednego jaśniejszego wspomnienia. Pensjonarze byli głodzeni, ratowały sytuację paczki z domu. Z oszczędności na naszych żołądkach Górski kupił w grójeckim piękny majątek. W szkole i na pensjonacie rządziła „rodzina”. System był szpiclowski i wzbudzał złe instynkty, ale też i wychowankowie nie bardzo zasługiwali na lepsze traktowanie. Miałem kolegę w 6ej klasie, Kotkowskiego, który miał 24 lata, ale to już był wyjątek, inni byli nieco młodszy. Klasy były przepełnione, do piątej klasy bisowane, Żydzi stanowili 90% uczniów. Na tym tle wyróżniali się profesorowie tej miary co: Paweł Sosnowski¹⁰, geograf ojciec Oskara¹¹, architekta, profesora politechniki, Jaczynowski¹² – historyk, Narkiewicz – przyrodnik, Rękawek i Arlitewicz matematycy i Nitowski¹³ – polonista. Ci ludzie byli ofiarami czasów, miejsce ich winno być na wyższych uczelniach. Boże, jak ci ludzie męczyli się rosyjskim językiem i poziomem uczniów.

Zakończenie mego pobytu było skandaliczne, gdyż musiałem przez koleżeństwo wziąć udział w mordobiciu brata pani Górskiej, Skrzypińskiego, zwanego „szewcem” (to się zdarzało prawie co rok), wychowawcy i szpicla, i noga moja tam już więcej nie stała. W ostatnim roku zorganizowaliśmy komplety literatury polskiej w szkole niewykładanej, i zaprosili prof. Nitowskiego do wykładów. Tu nastąpiło nasze zbliżenie się z nim i oceniliśmy jego wartość jako człowieka. Robiąc grupę koleżeńską, chcieliśmy umieścić jakieś hasło. Poprosiliśmy Nitowskiego, a on nam wskazał wiersz Asnyka:

Ale nie depczcie przeszłości ołtarzy
Choć sami macie doskonalsze wznieść,
Na nich się jeszcze święty ogień żarzy
I miłość ludzka stoi tam na straży
I wy winniście im cześć.

Wystarczyło, że fotograf wystawił grupę w oknie na Mazowieckiej, szpicle natychmiast zrobili „donos”, fotografie poniszczyli, a nam uniemożliwiono zdawanie do gimnazjum na maturę.

¹⁰ Paweł Sosnowski (1859–1947) geograf, pedagog, dyrektor Państwowego Instytutu Pedagogicznego, *Polski słownik biograficzny*, t. 40 s. 59, Kraków 2000–2001.

¹¹ Oskar Wiktor Sosnowski (1880–1939) architekt, urbanista, konserwator zabytków, wykładowca akademicki, w 1923 r. założył Zakład Architektury Polskiej na Politechnice Warszawskiej. Zmarł w wyniku ran odniesionych podczas bombardowania Warszawy, In Memoriam Pamięci Architektów Polskich, https://www.archimemory.pl/pokaz/oskar_wiktor_sosnowski,64999 [dostęp: 13.08.2024].

¹² Adam Jaczynowski (1862–1931) – historyk, pedagog, działacz oświatowy. Pierwszy dyrektor Gimnazjum i Liceum Koła Szkolnego im. św. Stanisława Kostki, „Rzeczpospolita” 2008, *Szkola inna niż wszystkie*, <https://edukacja.rp.pl/edukacja/art8182101-szkola-inna-niz-wszystkie> [dostęp: 13.08.2024].

¹³ Jan Nitowski (1859–1926) – polski filolog, poeta, pisarz, publicysta, tłumacz oraz encyklopedysta, współautor wydanego w 1898 r. *Podręcznika do nauki literatury polskiej*, Internetowy *Polski słownik biograficzny*, <https://web.archive.org/web/20230607114531/https://www.ipsb.nina.gov.pl/a/biografia/jan-nitowski> [dostęp: 13.08.2024].

Następuje dwuletnia moja tułaczka. Rok praktyki robotniczej w fabryce Rudzkiego, a następnie rok w Szkole Technicznej Wawelberga i Rotwanda¹⁴ na Wydziale Budowlanym. Po roku wydział skasowano, a ja znalazłem się znów w punkcie wyjściowym sprzed dwóch lat.

Przedemną stały alternatywy: wyjazd do Rosji i zdawanie matury, albo wyjazd zagranicę. Rodzice proponowali Lwów i politechnikę, po zdaniu austriackiej matury. Miałem czas, bo dopiero miałem 19 rok. Byłem w rozterce, bo decyzję zostawiono do mego uznania. Wakacje dobiegały końca. Paszport z wizą austriacką był wyrobiony. Ja wciąż na coś czekałem, i rzeczywiście

PO RAZ DRUGI ZDECYDOWAŁ PRZYPADEK, „MÓJ LOS”.

Przypadkowo przyjechał do Ojca mego w jakiejś sprawie Edmund Burzacki, student Politechniki w Karlsruhe, z którym się poznałem. Był to już starszy człowiek. W rozmowie zwierzyłem mu się z moich tarapatów, na co on zaproponował mi jazdę z sobą do Karlsruhe, twierdząc, że według prawdopodobieństwa mogę być przyjęty jako rzeczywisty student, i że coś słyszał, że Wydział Architektury stoi bardzo wysoko. On sam nie wie dokładnie, bo specjalizuje się w elektrotechnice. Zdecydowałem się bardzo szybko, bo w ciągu jednej nocy. Na drugi dzień jechałem jak w nieznane, bo bez znajomości języka i bez bliższych informacji. W najgorszym razie, przejechałbym się, tam i z powrotem, a to już coś było z „przygody”, na tle mojej stojącej sadzawki, jaką było życie dotychczasowe.

Ale nic podobnego, nie powróciłem. Przyjęli mnie koledzy, już uprzedzeni przez Burzackiego, zaprowadzili niemal prosto z pociągu przed oblicze Rektora, pocziwego szwaba fizyka, Boże, cóż to za różnica po tych wrażliwych, rozpijaczonych mordach moskiewskich. Pan Rektor długo dumał nad tłumaczeniami: świadectw, wreszcie wymyślił i zapytał:

Czy to świadectwo szkolne 6-klasowe daje prawa służby jednorocznej w wojsku? „*Ja wohl Herr Rektor*”. Było to oczywiście zwykłe oszustwo, gdyż szkoły polskie prywatne żadnych praw w Rosji nie dawały. Ale zostałem rzeczywistym studentem Politechniki. To już było coś. Radość moja nie miała granic, jeśli zważyć, co mnie czekało w Rosji albo nawet we Lwowie.

Studia moje w Karlsruhe to najjaśniejsza karta mojego życia. Tło cudowne. Dla człowieka wychowanego na równinie, między Skierniewicami a Warszawą, to co mnie otaczało, było snem na jawie. Tło cudowne. Dolina Renu. Na wschód góry Schwarzwald, na zachód Wogezy, wszystko to bliźutko, na odległość małej wycieczki rowerowej. Klimat łagodny, zima 3–4 stopni niżej zera i to nie co rok. Jesień ukochana moja część roku trwa prawie do

¹⁴ Założona w 1895 r. jako Średnia Szkoła Mechaniczno-Techniczna M. Mittego. Od 1929 r. Państwowa Wyższa Szkoła Budowy Maszyn i Elektrotechniki im. H. Wawelberga i S. Rotwanda. Po wojnie, w 1945 r., szkoła wznowiła swoją działalność, a w 1951 r. została włączona do Politechniki Warszawskiej, Politechnika Warszawska Wydział Zarządzania, <https://www.wz.pw.edu.pl/Wydzial/Tradycja/Historia/Od-ksztalcenia-technicznego-do-menedzerskiego/Szkola-Budowy-Maszyn-i-Elektrotechniki-im.-H.-Wawelberga-i-S.-Rotwanda.-1895> [dostęp: 13.08.2024].



Fot. 3. List Mateusza Lisieckiego.

„Ogrodnik Polski” 15 maja 1893 r., Nr 10, CRISPA Biblioteka Cyfrowa Uniwersytetu Warszawskiego.

wiosny, a jest niezwykle kolorowa, bo Schwarzwald pokryty lasami liściastymi. Piękne zabytki architektury rozsiane w całym dorzeczu Renu. Samo miasto kulturalne, stolica księstwa, na owe czasy posiadało 100 000 mieszkańców. Politechnika z dobrą już tradycją posiadała trzy wydziały postawione na wysokim poziomie: Elektrotechnika, Chemia i Architektura. Ten ostatni Wydział słynął w Niemczech, dzięki posiadaniu w gronie profesora Carla Schaffera¹⁵, specjalisty i znawcy średniowiecza, projektodawcy odbudowy zamku w Heidelbergu. Zewnętrzny i wewnętrzny niektórymi cechami przypominał naszego Noakowskiego¹⁶ – tylko, że Noakowski unosił się stale nad ziemią, a Schaffer chodził po ziemi. Studia na niemieckich

¹⁵ Carl Wilhelm Ernst Schäfer (1844-1908) – niemiecki architekt, konserwator zabytków i nauczyciel akademicki, Wikipedia, https://pl.wikipedia.org/wiki/Carl_Sch%C3%A4fer [dostęp: 13.08.2024].

¹⁶ Stanisław Noakowski (1867-1928).

politechnikach były niekontrolowane, student pozostawiony był sobie samemu, i sam decydował, co i jak się uczyć i kiedy здаwać. Dla Niemców system ten był odpowiedni, gdyż odpowiadał ich charakterowi narodowemu i tradycji. Student Niemiec szalał i bawił się 2–3 semestry, poczem znużony brał się do pracy.

Gorzej system ten wyglądał w stosunku do naszych Polaków.

Moi koledzy, z nielicznymi wyjątkami, przeważnie stypendyści, chłopcy niezamożni, uważali, że otrzymywane stypendia wystarczają im na życie lepsze niż te, które mieli w domu. Ponieważ stypendia były ryczałtowe na całość studiów, nie byli kontrolowani ani przez Politechnikę, ani ofiarodawców, zajmowali się polityką, pili i grali w karty. A gdy już raz tymi nałogami nasiąknęli i wpadli w kompanię, nie było odwrotu. Miałem kolegę, późniejszego wojewodę, człowieka zupełnie inteligentnego, który po trzech latach pobytu w Karlsruhe wyjechał, nie umiejąc rozmówić się po niemiecku. Polonia nasza była liczna, było blisko 100, zgrupowanych w dwóch stowarzyszeniach, nadto byli jeszcze „dzicy”, którzy żadnych stosunków z pozostałymi nie utrzymywali. Przeważnie byli to pokończeni inżynierowie, którzy specjalizowali się w jakimś kierunku (np. Adamski).

Znam wypadek, który miał miejsce z kolegą moim Mazurkiewiczem, a który warto zanotować. Mazurkiewicz studiował chemię, był to bardzo dodatkowy typ, jak to mówią, „do tańca i do różańca” (brat słynnego lekarza, który wykradł Piłsudskiego z twierdzy Szlisselburskiej) Pracował bardzo gorliwie, odrobił wszystkie prace laboratoryjne, zrobił jakąś fenomenalną pracę doktorską, ale nie mógł stanąć do żadnego egzaminu. Szok nerwowy. Przebył chyba ze 6 lat, z przerwami, wreszcie wyjechał przy mnie, nie zabrawszy kawałka dokumentu. (Później spotkałem go jako dyrektora naszych zakładów chemicznych w Hajnówce). Na Wydziale Architektury było nas Polaków 5.

Zacząłem pracę od pierwszego dnia i pracowałem uczciwie cały czas. Przyznaję, że towarzystwo kolegów ciągnęło mnie bardzo, byłem najmłodszym z całej kolonii. Karty mnie nie ciągnęły, pić lubiłem dla nastroju, poza tym słuchałem, uczyłem się i była to moja szkoła życia. Zajął się moimi studiami starszy kolega, później przyjaciel serdeczny, do śmierci – Kazik Wyczyński. Miał już za sobą 2 lata studiów w Karlsruhe i semestr w Paryżu. Jemu zawdzięczam, że nie potrzebowałem błąkać się w tak obcym dla mnie środowisku, co kosztowało by co najmniej jeden semestr, albo i więcej, i mogłem od razu słuchać potrzebnych wykładów i pracować w kreślarni, mając wytknięty program na całe studia. On mnie nauczył jeździć na wycieczki ze szkicownikiem, a nie aparatem fotograficznym. Rozsmakował mnie w historii i zabytkach, które tam były w dużych ilościach. Wspomniany już Schaffer miał na wydziale swego rywala, antagonistę, w osobie prof. dr. J. Durma, klasyka i historyka architektury greckiej i rzymskiej. Dalej byli: Weinbrenner – staruszek klasyk, Warth – konstruktor, von Oechelhauser – historyk sztuki, przyjaciel Cesarza Wilhelma, jedyny profesor nastawiony niechętnie do Polaków i inni. Na ogół wszyscy cudzoziemcy cieszyli się dużą wyrozumiałością w sprawach językowych i pomocą ze strony profesorów. Najbardziej międzynarodowo nastrojony był Durm, był bowiem człowiekiem szerszych

horyzontów, a pisma jego rozchodziły się po całym świecie. Ze studentami Niemcami, zorganizowanymi w korporacjach buroszowskich, nie mieliśmy nic wspólnego. Wzajemnie nie widzieliśmy się, a ci co przychodzili do kreslarni, to już byli koledzy, z którymi wcześniej czy później następowała znajomość i poprawne stosunki koleżeńskie. Nie było przyjęte utrzymywanie znajomości prywatnych i bywanie w domach rodzinnych.

Należałem do „Czytelni Akademickiej”, stowarzyszenia z tradycją od lat czterdziestu. Przeszedłem tak zwane przeszkolenie społeczne albo, jak kto woli, „polityczne”. Byłem jeden semestr przewodniczącym i w tym czasie musiałem poświęcić trochę czasu na reprezentację. Byłem na zjeździe studentów Polaków w Antwerpii, gdzie spędziłem niezapomniane święta Bożego Narodzenia. Licznie stawiał się Paryż, i pierwszy raz spotkałem się ze studentkami Polkami. Drugi Zjazd był w Zurichu, mniej pamiętny, ale za to duże wrażenie zrobił na mnie Rappersvyl, z jego naiwnymi, ale cennymi pamiątkami naszej martyrologii i wysiłków podniesienia się. W Rappersvylu byłem zaproszony na podwieczorek do pułkownika Miłkowskiego (Jeża). Staruszek tylko nam się przypatrywał bystrymi, pełnymi życia oczami. Czas biegł z szybkością zawrotną. Zbliżała się pora egzaminów i powrotu do kraju. Ostatni semestr spędziłem z kolegami Niemcami, by opanować lepiej język, wakacje przesiedziałem w wiosce schwarzwaldskiej na kuciu, głównie historii sztuki, gdyż w tym przedmiocie ani rysunkiem, ani formułką nie można było się wykipić, trzeba było opowiadać, w obcym języku i poznać przedmiot. Egzaminy skończyłem jesienią 1904 r. i zjechałem do Warszawy.

Na marginesie mego życia w Karlsruhe mam do zanotowania oryginalne spotkanie, według tego przysłowia „co to góra z górą się nie spotka”. Pewnego razu pojechaliśmy z kilku kolegami na wycieczkę do pobliskiego Heidelbergu. Była wczesna wiosna. Dzień tak cudowny, a widok z góry zamkowej, na pokryte świeżą zielenią lasy Schwarzwaldy i wijącą się wstęgę Neckaru, był tak piękny, że trudno było oczy oderwać. Byłem tak pochłonięty i dziwnie zespoleony z całą otaczającą mnie przyrodą, że już nigdy w życiu tak silnego wrażenia nie doznałem i pamięć tych chwil przetrwała do dziś dnia. Ktoś głośniejszym głosem przemówił – czar prysł. Zaczęliśmy rozmawiać, podszedł do nas obcy człowiek, a usłyszawszy polską mowę przedstawił się jako rodak, student Uniwersytetu. Nowy znajomy ofiarował nam się jako „cicerone” po Heidelbergu, był to starszy od nas, sympatyczny pan. W pewnym momencie zwrócił się do mnie z zapytaniem, czy przypadkiem nie byłem kiedyś w II Gimnazjum w Warszawie. No i wyjaśniło się, że znaliśmy się doskonale, on był w 7 klasie, potykaliśmy się na śpiewach chóralnych, bawił się ze mną i przynosił cukierki. Na tle tych opisanych wyżej cudów, przesunęło nam się koszmarnie wspomnienie tych odległych czasów i śpiewów *Boże Cesarza chroń*. Opowiedział nam swoje ciekawe przeżycia. Za manifestację studencką w Alejach Ujazdowskich w rocznicę rewolty Kilińskiego został zesłany na Syberię, skąd uciekł, dostał się do Lwowa, dokończył studia medycyny, a obecnie w Heidelbergu studiuje filozofię, a w wolnych chwilach pracował nad wynalazkami z dziedziny batalistyki i miał już nawiązany kontakt z Ministerstwem Spraw Wojskowych w Paryżu. Odnowiona znajomość



Fot. 4. Staś Lisiecki, brat Juliana. Jego grób znajduje się na cmentarzu św. Stanisława w Skierniewicach.

Album rodzinny Lisieckich ze zbiorów Simona Lisieckiego.



Fot. 5. Grób Stasia Lisieckiego.

Epitafium zamieszczone na nagrobku:
 Ś. P. STAŚ | LISIECKI | URODŹ. 25
 PAŹDZIER. 1879 R. | UMARŁ 17 SIERP-
 NIA 1885 R | I CÓŻ POMOŻE PŁACZ ||
 ROZPACZLIWY || STASIU, TYŚ W NIE-
 BIE || SZCZĘŚLIWY || TY Z ANIOŁA-
 MI U STÓP || STWÓRCY ŚWIATA ||
 WZNOSISZ MODŁY ZA RODZICÓW ||
 SIOSTRĘ I BRATA

Fot. Radosław Stefanek.



Fot. 6. Nekrolog Stasia Lisieckiego.

„Kurjer Warszawski”, R. 65, 1885, nr 227, CRISPA Biblioteka Cyfrowa Uniwersytetu Warszawskiego.

przetrwiała czas jakiś, odwiedzał mnie w Karlsruhe. Jest to obecnie znany lekarz psychiatra, dyrektor Zakładów w Drewnicy Dr. Pręgowski.

Wyjątkowa atmosfera, jaka panowała w Karlsruhe, nasuwa wspomnienia chwil spędzonych na koncertach i w teatrze. Jak przystało na rezydencję Księcia Badeńskiego, miasto posiadało operę i było ośrodkiem życia muzycznego kraju. Kapelmistrzem był słynny „wagnerzysta” Mottl sprowadzony z Wiednia. Zespół operowy nie składał się z „gwiazd”, ale był w całym znaczeniu tego słowa, poprawny i mógł z powodzeniem wystawiać wszystkie opery, nie wyłączając Wagnera. Primadonną była żona Mottla, śpiewaczka już niemłoda, ale z pięknym głosem i dużą kulturą muzyczną. Sezon muzyczny zaczynał się jesienią, trwał do wiosny, i prócz opery obejmował cykl 12 koncertów symfonicznych, i pewną liczbę koncertów kameralnych. Wszędzie, prócz koncertów nadprogramowych, ceny były tak niskie, że nie przekraczały możliwości najskromniejszych kieszeni studenckich. I tak wpadłem w atmosferę muzyczną, bo wśród kolegów zawsze ktoś wystąpił z inicjatywą, przypominał o koncercie, zamówił bilety – słowem był to jedyny okres w moim życiu, kiedy muzyki miałem pod dostatkiem, poznałem dużo utworów, których nigdy potem nie było sądzone mi słyszeć. Gmach opery był porządny, prócz tego była hala, drewniana koncertowa na 1000 osób, i mała salka kameralna na 200 osób.

Pewnego razu zobaczyłem afisz, zapowiadający koncert pianisty Ignacego Paderewskiego „aus London”. W programie były utwory, jeśli mnie pamięć nie myli, Beethovena, Schumana, Brahmsa i Liszta, utworów polskich nie było. Koncert miał się odbyć w małej sali kameralnej. Sława Paderewskiego była już wówczas ustalona. Na obiedzie u Piątka umówiliśmy z kolegami pójść gremialnie, z myślą dania nauczki „naszej chlubie”. Wykupiliśmy całe pierwsze dwa rzędy i obstalowaliśmy kwiaty. Szliśmy na koncert z wielką trema – jak to się odbędzie? Odświętnie ubrani stawiliśmy się punktualnie. Paderewski grał bez większego przejęcia się, sala niezbyt zapełniona, była „zimna”. Przez cały czas koncertu nie zdradziliśmy naszego „incognito”. Po skończonym koncercie zrobiliśmy pianiście owację, a wołając po polsku, żądaliśmy „bisu”, rzeczy na ogół w Niemczech nieprzyjętej. Sala zaczęła się opróżniać. Zostaliśmy sami Polacy i kilka zwariowanych Niemek. Woźni gaszą światła, a Mistrz nie wychodzi. Sytuacja zaczęła się robić niemiła, lada chwila woźni zaczęli nas wyrzucać, a my czekamy. Wreszcie Mistrz wrócił na estradę, na której zobaczył nasz wieniec. Był wzruszony. Nastąpiła śmiertelna cisza, Paderewski zaczął grać. Po pierwszych akordach poznaliśmy Sonatę B-mol Szopena, którą grał całą, potem jeszcze coś, ale nie pamiętam. Gdy skończył – oklasków nie było. Woźni gasili resztki światła. W milczeniu zesliśmy do szatni po okrycia i zebrał się do podjazdu, by jeszcze raz Go zobaczyć i pożegnać. Była to zima. Śnieg biały przyprószył ulicę. Na Mistrza czekała karetka. Wyszedł ze swym „impresario”, który tak niefortunnie zredagował mu afisze, niosąc bukiet białoczerwonych róż. Pożegnaliśmy Go okrzykiem „do zobaczenia w Warszawie”. Czy można taki wieczór zapomnieć? Słyszałem Go potem raz jeszcze w Warszawie przed wojną. Grał w Filharmonii. Entuzjazm publiczności

był wyjątkowy, a ja nie umiałem odnaleźć w sobie tego nastroju z przed lat – wyszedłem rozczarowany.

I jeszcze jedno, ale to już ostatnie wspomnienie. Rodzina szewca Piątka w Karlsruhe. On zelowal nam buty, był to Polak emigrant z poznańskiego. Ona Niemka gotowała nam obiady, a dwie córki, już też Niemki, usługiwały nam do stołu. Młodsza z nich, pyzata dziewczyna z rumieńcami na twarzy, uosobienie zdrowia, starsza zaś wątła, wybujała, przechodziła ciężką operację wycinania nerki. Stołowaliśmy się ze 40 osób. Boże, jak że ta Niemra nas trula. Mało który z nas nie przypłacił jej gotowania ciężką chorobą. Mieszkanko małe, czyste, ale jakaż ciasnota. Stale powstawały bunty, że to ostatni już miesiąc jadamy. Raz po raz ktoś odpadał, szedł jadać gdzie indziej – i wracał. Można było największe „świństwo” zjeść, bo ktoś zagadał, ktoś poruszył najistotniejszy temat (nie polityka) sąsiad jadł, inni też jakoś jedli. Tradycja stołowni Piątków przetrwała lata, przed moim przyjazdem, i dotrwała do wybuchu wojny światowej. Tam był nieoficjalny klub. Tam nowo przyjezdny poznawał kolegów i otrzymywał zaraz pierwszego dnia przydomek (chrzest). Przy obiedzie powstawały projekty spacerów i wycieczek, conceptów i teatrów. Tam się pożyczalo i odbierało pieniądze, bo listonosz wiedział, gdzie nas szukać o 12 godzinie. Bez Piątków nie byłoby życia, ani tych wszystkich wspomnień – które dziś jeszcze wywołują uśmiech starczej twarzy.

Rodzice proponowali mi dalsze studia i wyjazd za granicę. Nie przyjąłem tej propozycji, mając na uwadze trudności finansowe, w jakich się mój Ojciec znalazł, co przy Jego wieku, mniej odpornym na przeciwności, a więc i osłabionej energii, wymagało być Mu pomocnym. Chciałem samodzielnie pracować i być pożytecznym. Niestety dziś widzę, jak byłem naiwny i niedoświadczony. Zresztą sam miałem się o tym wkrótce przekonać. Sytuacja polityczna zaczęła się chmurzyć. Kapitał, ten tak czuły aparat, drgnął i cofnął się. Ruch budowlany stanął. Daremnie chodziłem po wszystkich znanych pracowniach, na deskach rysunkowych nic nie było. Dziekoński układał fotografie w albumie, nie chciał mnie nawet bezpłatnie. Wobec tego ożeniłem się.

Po kilku miesiącach czekania dostałem zajęcie u arch. Kudera. Opinię miał nadzarpaną, ale pracownia była pełna roboty. Zdobyłem u niego sporo wiadomości praktycznych i przepracowałem cały rok w malutkim pokoiku, z oknem na podwórko warszawskie, gdzie siedziało nas 4 czasem 5 ludzi. Po roku Kuder zaproponował mi wyjazd na Polesie, w charakterze kierownika robót przy budowie pałacyku. Bez namysłu zgodziłem się – było to wyzwolenie.

I ZNÓW ŚLEPY LOS po raz trzeci miał pokierować moimi drogami, wśród których błędziłem, nie umiejąc znaleźć właściwego kierunku, bo tego mnie nie nauczono.

Wyjechałem tedy na wschód, na Pińszczyznę. Była wiosna. Nie zapomnę widoku, jaki oczom moim przedstawił się rano, po całonocnej drodze. Z okien wagonu widziało się, jak okiem sięgnąć, wodę stojącą, od czasu do czasu z wody sterczały karłowe uschnięte sosny, pokryte mchem. Czasem na widnokręgu pojawiały się wysepki piaszczyste – to wsie, a tam gdzie starczały topole – to folwarki i majątki. Tak jechałem kilka godzin, aż do Horynia,

gdzie na stacji tej wysiadłem. Czekala mnie para dobrych koni, zaprzężona do „szarabana”. Pierwszą znajomość zrobiłem z furmanem Franciszkiem. Była to znajomość i przyjaźń bardzo cenna, jak się później pokazało. Kilka kilometrów drogi zalanyymi łąkami przelecieliśmy szybko. Konie zatrzymały się przed gankiem drewnianego dworku, na którym oczekiwał mnie mój pierwszy klient Pan Cezary Olesza, właściciel majątku Terebeżów.

Był to młody człowiek, lat około 30, a więc niewiele starszy ode mnie. Prędko dogadaliśmy się. Miał awersję do warszawiaków, stary antagonizm polsko-litewski, ale ponieważ był człowiekiem inteligentnym i niezacofanym, przekonał się, że ja blagierem nie jestem, że nie mam zamiaru go zagadać ani ośmieszać – i nastąpiła harmonia.

Był bogaty, posiadał 10 000 dziesięcin ziemi (25 000 ha). Chciał się bogato ożenić z młodą i piękną panną Żukówną z Petersburga. Wymagała oprawy w postaci pałacyku. Projekt tej oprawy robił Kuder, a że był „parszywy”, to już wina Kudera i właścicieli, ja byłem tylko wykonawcą. Miałem kierować robotami, a myślicie, że miałem o tym pojęcie? Szczęściem roboty, na takiej zabitej wsi, szły bardzo wolno.

Trzeba było budować cegielnię, sprowadzać każdą rzecz i każdy materiał budowlany z Warszawy, słowem przygotowania trwały cały rok. To mnie ocaliło, pozwoliło opracować plany robocze i powoli poznać stosunki miejscowe i warunki pracy. Wszystkie moje praktyki wakacyjne, roboty gospodarskie, jakimi podczas wakacji szkolnych obarczał mnie mój Ojciec, remonty domu, budowy gospodarskie w Skierniewicach, wszystko to teraz musiałem sobie przypomnieć i przydało mi się, a poradzić się nie było kogo, miałem zostawioną zupełną swobodę decyzji, bo Olesza miał narzeczoną i o niej tylko myślał, a administrator majątku p. Olszański miał tyle pracy i własnych kłopotów, że tylko pytał, a wiele na to trzeba pieniędzy? i łapał się za głowę.

Pierwszym moim majstrem murarskim był Fabian Mamysz, wraz z rodziną – murarzy z Lwieńca. Lwieniec to miasteczko w okolicach Nowogródka, w którym wszyscy mężczyźni z ojca na syna są w lecie murarzami, a w zimie szewcami. Poczciwy, kochany Mamysz, biedak niepiśmienny, robota akordowa – „no to co pan architekt wyliczy, tak niechaj już będzie”.

A poza robotą, życie jak to na wsi. Nikomu się nie spieszy, dobre życie i przysmaki „litewskie”, „Starka” i to jaka, kasztanka pod wierzch do mojej wyłącznej dyspozycji, wieczorami gawędy i muzyka, książki i pisma. A w święta, a było ich bardzo dużo, bo dwóch wyznań, spacer, polowania na czacki i słonki, lasy, łąki, Horyń... czego chcieć więcej?

Z panem Cezarym stosunki przyjazne nastąpiły po bytności w Terebeżowie Ojca narzeczonej pana Żuka, który przyjechał na inspekcję, przyszłego gniazda swej ukochanej jedynaczki. Od razu przypadliśmy sobie do gustu. Żuk, starszy pan, inżynier ministerstwa ze stolicy, był człowiekiem kulturalnym, pięknie grającym na fortepianie. Zainteresował się moją osobą, zaprosił do siebie do Petersburga, a wykonane prace pochwalił. To mocno podniosło moje akcje u Oleszy.

W niedalekiej przeszłości oboje państwo Żukowie obdarzali mnie, do swej śmierci, niemal rodzicielskim, sentymentem.

Porobiłem znajomości w sąsiedztwie, bywałem u braci Oleszy Władysława i Konstantego, poznałem rodzinę Kiniewiczów i Wirionów, Ordów, Ratyńskich i innych.

Do Warszawy dojeżdżałem. Zimą spędziłem w Warszawie.

Po ślubie p. Cezarego, gdy minęły miodowe miesiące, a pani Musia zaczęła się nudzić, przyszła do przekonania, że projekt pałacyku jej nie odpowiada, że w ogóle ona z jakimś Kudrem nie chce mieć nic do czynienia, i że oni życzą sobie, bym projekt przerobił i objął samodzielnie budowę. Podczas pobytu zimowego w Warszawie sprawa ta spadła na mnie, jak piorun z jasnego nieba, w postaci sążnistej depeszy. Trafiła w momencie pustki w kasie i zupełnej beznadziejności. Listami i depeszami dogadaliśmy się. Sprawa mego szefa została załatwiona, a ja otrzymawszy od niego na piśmie zgodę, przystąpiłem do roboty nowych planów. Wiele zrobić się nie dało, bo fundamenty były już wymurowane.

I tak doszedłem w drugim roku po wyjeździe z Karlsruhe do samodzielnej pracy, a że Oleszowie i Żukowie mieli dużo rodziny i znajomych, zacząłem otrzymywać zaproszenia i zamówienia, których starczyło do samego wybuchu wojny światowej.

Skończyła się moja młodość – wszedłem w wiek męski. Zostałem człowiekiem pracy w wolnym zawodzie architekta. Nie było mi łatwo. Jeszcze kilka chudych lat mnie czekało, gdyż były to czasy rewolucyjne, ale musiałem się trzymać, miałem bowiem obowiązki męża i ojca.

Dziś, gdy słowa te piszę, mam dawno za sobą te lata i głowę białą, wspominam je z pobłażliwym uśmiechem, i mógłbym sparafrazować piosenkę Modzelewskiej: „a każdy już potem swój los jakiś ma spleciony z uśmiechów i łez...”. A że tych łez było więcej niż uśmiechów... to już wina gwiazdy i czasów, w których wypadło mi żyć.

Warszawa, marzec 1944 r.

ROK 1920

Wspomnienia mojej młodości zakończyłem świadomie w momencie, gdy dostałem samodzielną pracę. Potem życie moje szło pewną koleją i niczym wybitnym się nie zaznaczyło. Trzymałem się zdaleka od polityki, która mnie nigdy nie pociągała, to też nie miałem sposobności ani chęci wysuwania się naprzód, zajmowania wybitniejszego stanowiska w społeczeństwie lub obracania się wśród ludzi na tych stanowiskach stojących. Wojna w 1914 r. zaskoczyła mnie, wytrąciła z równowagi. Gdzieś głęboko drżące instynkty wojenne poczęły się we mnie budzić, żałowałem, że nie jestem wojskowym, a jako jednak w wojsku rosyjskim nie służyłem. W walkach dwóch sąsiadujących z Polską potęg militarnych czuliśmy szanse dla nas, ale jak daleko idące, nie zdawaliśmy sobie sprawy. Wiem jedno, że nikt nie postępował według jakiegoś planu, każdy, idąc po linii najmniejszego oporu, pozwalał się kierować okolicznościami. Zupełnie przypadkowo będąc bez pracy i bez pieniędzy, zostałem w marcu 1915 r. wciągnięty przez znajomego inżyniera komunikacji Puciatę do budowy mostów na Narwi, na razie czasowo,



Fot. 7. Poczтівka z przełomu XIX i XX wieku, „SKIERNIEWICE Willa i park”, być może przedstawia dom Lisieckich przy Bielańskiej przed przebudową.

Zbiory Muzeum Historycznego Skierniewic im. Jana Olszewskiego.

a w rzeczywistości przepracowałem po stronie rosyjskiej 4 lata, przebywając stale w pasie przyfrontowym. Do korpusu polskiego Dowbor-Muśnickiego nie zgłosiłem się, nie mając przeszkolenia wojskowego, nadto zdawało mi się, że formacje polskie po stronie rosyjskiej nie mają racji bytu wobec istnienia Legionów Piłsudskiego. Czas pokazał, że racji nie miałem, bowiem los jednych i drugich w pewnym momencie był jednakowy – zostały rozbrojone – a dzięki ich istnieniu w 1918 r. można było sformować armię, która musiała wyruszyć na zdobywanie i ochronę granic Polski.

W 1918 r. powróciłem do Warszawy i stanąłem do prac organizacyjnych w Ministerstwie Robót Publicznych, przy czym doświadczenie zdobyte w Rosji było mi nader pomocne.

Przyszedł rok 1920.

Wszystko co najgorsze zważyło się na Polskę, a chyba najgorsze z nie-szczęść – to zupełna anarchia na tle politycznym. Po zajęciu Kijowa karta się odwróciła, hordy bolszewickie parły ze wschodu, nie spotykając oporu. Każdy dzień przynosił coraz gorsze wiadomości. Ewakuacja Warszawy rozpoczęta. Afisze i odezwy „Wszyscy pod broń”. Na czele Armii Ochotniczej stanął gen. Haller jako człowiek, który swym nazwiskiem miał pogodzić zwąśnione obozy. Czy podobna opisać nastrój, jaki się wówczas wytworzył? Co w duszy każdego prawego człowieka dziać się musiało?

Czy wolno było się namyślać?

Tak jak Ojcowie nasi szli do powstania, tak teraz trzeba było iść na ochotnika. Tacy jak ja, w starszym wieku, dla przykładu.

Wszystko wskazywało na to, że można iść jedynie do piechoty. Umiałem maszerować i obchodzić się z bronią. Inne bronie wymagały przeszkolenia

tak długiego, w stosunku do potrzeb chwili bieżącej, że mogły tylko służyć za dobry sposób przeczekania na tyłach.

Formalności w Biurze Poborowym trwały krótko. Zostałem przyjęty i przydzielony do 201. pp legionowej. Skierowano mnie do Jabłonny, gdzie formował się mój batalion. Pojechałem 17 lipca.

Tydzień trwał okres przygotowania rekruckiego. Czułem się dobrze. Z chwilą, kiedy włożyłem na siebie mundur szeregowca, opadły mnie wszelkie wątpliwości i ten straszny stan beznadziejności naszej sprawy, tak jak gdyby od mego wstąpienia do wojska zależała wygrana tej wojny.

Towarzysze moi reprezentowali wszystkie sfery społeczeństwa, na ogół była to młodzież, ale byli też i starzy ludzie pod 60 lat. Przeważali robotnicy i rzemieślnicy. Sporo urzędników i inteligencji zawodowej. Ćwiczenia prowadzili podoficerowie, starali się być bardzo grzeczni i „salonowi”. Oficerów jeszcze nie było. Jeździłem do Warszawy samochodem po umundurowanie i broń. Warszawa była mi jak obce miasto. Na ulicach widziało się mało ludzi. Dostaliśmy piękne, nowiutkie mundury, karabiny francuskie.

Nadszedł dzień przysięgi i wymarszu.

Przyjechali przydzieleni do nas oficerowie. Dowódcą mojej kompanii był por. Olewiński – batalionu płk Prystor – dywizji płk Koc. Odmaszerowaliśmy z koszar w pełnym rynsztunku na plac ćwiczeń. Doszliśmy do placu i jak trzeba było sformować się kompaniami w podkowę, powstało zamieszanie, szyki się złamały. Nie rozumieliśmy komendy. Wszak to były czasy, że niemal każdy wojskowy przechodził inną szkołę (rosyjską, austriacką, pruską i legionową). Podoficerowie wrócili do komendy i jakoś sformowaliśmy się. Był to dzień dla mnie pamiętny. Maszerowałem w pełnym rynsztunku, z karabinem i amunicją oraz wszystkimi nadesłanymi mi „paczuszkami” (na wszelki wypadek). Po przysiedze nie wróciliśmy już do koszar, inni przyszli na nasze miejsce, a za kilka godzin miał nastąpić odjazd pociągiem.

Pod wieczór nastąpił załadunek, a późno nocą pociąg ruszył w nieznane, posuwając się żółwim tempem. Rano przekonałem się, że jedziemy w kierunku Białegostoku. Całą drogę chłopcy uczyli się strzelać i używać karabinu, w Jabłonnie na to czasu nie było. Pod wieczór dojechaliśmy do stacji Łapy, gdzie nastąpił wyładunek, natychmiastowy marsz w kierunku Narwi i miasteczka Suraż. Jakieś niezrozumiałe dla żołnierza marsze, i wreszcie zajęliśmy pozycje w spalonej wiosce nad Narwią. Po drugiej stronie, na wysokim brzegu, były pozycje bolszewickie. Luzowaliśmy mocno przetrzebioną Dywizję Litewsko-Białoruską. Każdy z nas okopał się, robiąc nakrycie nad głową. Tak przeleżeliśmy cały dzień, prawie nie strzelając. Artyleria nasza i moskiewska nie milkły, ale strzały przenosiły się nad nami. Wieczorem zbiórka i marsz. Zaczął padać deszcz. Mieliśmy rannych, których zabraliśmy ze sobą. Postój w jakiejś wiosce, znów marsz. Tak zesłała noc. Rankiem zbiórka w jakiejś wsi. Przemowa płk. Koca do żołnierzy. Deszcz pada bez przerwy. Znów marsz i pokazuje się, że jesteśmy w znanym już miejscu, niedaleko od tej wsi, gdzie były nasze pozycje pierwszego dnia. Na komendę poszliśmy tyralierą w kierunku lasu i przez las, do ataku na niewidzialnego wroga. Szliśmy jak na polowanie z nagonką. Kazano nam ostro strzelać. To już było



Fot. 8. Od lewej Jadwiga Lisiecka z Tuszków, żona Juliana, Prakseda Lisiecka z Kościelskich, matka Juliana. W tle prawdopodobnie Mateusz Lisiecki w stroju pszczelarskim.

Album rodzinny Lisieckich ze zbiorów Simona Lisieckiego.

coś weselszego. Idąc strzelałem przed siebie. Gdy las się skończył, weszliśmy na pole porośnięte gęstym łubinem. Tu już posuwaliśmy się, czołgając. W pewnym momencie widzę, że leży coś wielkiego. Był to trup Chińczyka. Więcej wrogów nie widziałem. Za chwilę sygnał do odwrotu. Musiało to jednak długo trwać, gdyż zaczęło szarzeć, a deszcz padał w dalszym ciągu. Pod lasem zebrała się moja kompania i por. Olewiński oświadczył nam, że jesteśmy otoczeni i próba przerwania zawiodła. Należało zbadać jeszcze jeden kierunek, i w tym celu wysłał patrol wywiadowczy, by stwierdzić, czy bolszewicy są we wsi. Stałem w pierwszym szeregu. Ruchem ręki wskazał na nas czterech pierwszych i posłał nas, dodając plutonowego na dowódcę.

Deszcz wciąż pada i robi się ciemno. Dochodzimy do wsi i w pierwszej chałupie dowiadujemy się, że Moskale są na drugim końcu wsi. Było to wystarczające, ale mój dowódca, bardzo gorliwy, poleca nam sprawdzić to osobiście. Idziemy opłotkami za chałupami. Coraz ciemniej. W pewnym momencie natknęliśmy się na wartownika, który oparty o ścianę jakiejś szopy dopuścił nas do siebie, w przekonaniu, że to swoi. Bagnetami przygwoździliśmy go do ściany. Moskał zaklął paskudnie, a na krzyk jego zaczęli biec żołnierze. Powstało zamieszanie. W ciemności nikt nie mógł się zorientować,



Fot. 9. Siostra Juliana, Kamilla, Iv. Galewicz,
Ilv. Lesiewicz.

Album rodzinny Lisieckich ze zbiorów Simona
Lisieckiego.

kto kogo goni. Rozpoczęła się strzelanina bezładna, z obu stron, która nikomu nie zaszkodziła, i myśmy się szczęśliwie wycofali w porządku, ale straciliśmy po ciemku kierunek. Zaczęliśmy się błąkać i łązić bez planu. To trwało kilka godzin. Jakies znajome miejsca, stanowiska artylerii, las, wreszcie plant kolejowy, w wozie głębokim i przejazd. Oparłem się o poręcz i chyba zasnąłem. Jak długo mogłem spać nie wiem, ale gdy się obudziłem moich towarzyszy nie było przy mnie. (Może mnie i szukali, może nawoływali, dość, że poszli i wszyscy w dalszych walkach na drodze do Warszawy zginęli).

Zostałem sam...

Wynalazłem dołek w lesie, nakryłem się płaszczem i zasnąłem.

Rano widziałem, jak piechota bolszewicka maszerowała drogą.

Dwa dni i dwie noce włóczyłem się lasami, zostałem, łązikiem. O zbliżeniu się i wejściu do wsi nie było mowy, wszędzie pełno było Moskali, a i stosunek chłopów do nas bardzo nieżyczliwy. Spotkany w polu chłop, co z kosą szedł i miał przy sobie garczek z wodą, odmówił

mi napicia się wody, groził, że da znać do wsi, gdzie są bolszewicy. Noce były cudowne, księżycowe. Fantastyczne cienie w lesie, były jak ilustracje z bajek, które ginęły za zbliżeniem się. Widziałem rycerzy towarzyszy pancernych na koniach, pochody ludzi zbrojnych w dzidy i oszczepy, jakieś pomniki olbrzymie i zamki zakłete. Posłanie na wrzosach było miękkie i pachnące. Wszędzie pełno było kabli od przewodów telefonicznych, które dla rozmaitości przeciwnałem, nie wiedząc czyje. Pogoda ustaliła się, na moje szczęście. Z głodu doszedłem do zupełnej apatii. Przestałem się ukrywać. Pewnego ranka położyłem się przy samej drodze i zasnąłem. Obudził mnie gwar licznych głosów. Przy mnie stali starzy, brodaci Moskale. Na drodze stały tabory. Oddałem im się do niewoli, ku ich wielkiej radości. Dali mi jeść i pić. Pojechalismy do sztabu korpusu. W drodze pogawędka na tematy aktualne dla nich, czy to prawda, że nasi zabijają jeńców, i jak mógłbym im pomóc, na wypadek zmiany losu. W sztabie stawiono mnie przed „Politkomandirem”, żydźnikiem, który robił fason i starał się być džentelmenem. Nie mógł się wydziwić,



Fot. 10. Pocztówka z Sosnowca, błędnie opisana jako Skierniewice. Być może wydawcą była Kamilla Galewicz.

Zbiory Muzeum Historycznego Skierniewic im. Jana Olszewskiego.

co robi w armii polskiej szeregowiec piechoty z cenzusem. Trudno mi było z moją postawą i twarzą udawać matolka, wołałem mówić prawdę. Wreszcie uwierzył, że u nas wszyscy, bez różnicy społecznej, bronimy się przed nimi. Do końca był pan „komandir” poprawny, polecił mnie nakarmić i odesłał na punkt zborny do pobliskiego Wysokomazowiecka. Teraz dopiero rozpoczęła się moja gehenna! W żydowskiej bożnicy zebranych było do 1000 ludzi. Byli chorzy i ranni, wszyscy zdenerwowani, podrażnieni, głodni, słowem obraz nędzy i rozpaczy. Mój mundur cudem ocalały był przedmiotem zazdrości. Większość nie miała płaszczy, a reszta ubrania była w strzępach. Rano, po bezsennej nocy, pomaszerowaliśmy szosą w kierunku Białegostoku, dokąd szliśmy dwa dni i noc. Śród towarzyszy niedoli nie miałem nikogo znajomego ani życzliwego. Wszyscy byli wzajemnie wrogo nastawieni i o żadnym zbliżeniu nie było mowy. Z aprowizacją było fatalnie. Miałem trochę pieniędzy, które szybko wydałem. Trzeba było wyprzedawać umundurowanie, tak cenione przez bolszewików i upodobnić się do nich, co w moich projektach na dalszą metę było konieczne. Z Białegostoku maszerowaliśmy do Lidy. O ucieczce po drodze nie można było marzyć. Pogoda sprzyjała. W marszach, niezbyt pospieszonych, było jako tako, najgorsze były postoje, zdobywanie żywności, kłótnie i bijatyki. Najgorsze instynkty wzięły górę. W Lidzie dłuższy postój i przygotowanie do transportu koleją. Spotkaliśmy nowe partie jeńców. Obóz nasz liczył kilka tysięcy ludzi. Bolszewicy rozpoczęli agitację do wstępowania do ich armii przeciwko Denikinowi. Sporo ludzi się zapisało spośród robocizny warszawskich. Nieco odpocząłem i zacząłem się zastanawiać nad swym położeniem, które przedstawiało się krytycznie – i znów los rozstrzygnął za mnie o moich krokach. Zostałem wezwany do dowództwa

obożu na zeznania, w których po prokuratorsku wmawiano we mnie, że jestem oficerem, a to była różnica zasadnicza i można było z obożu wyjechać, ale w „inną stronę”. Na razie udało mi się pana Komisarza przekonać, ale po powrocie na swoje legowisko, powiedziałem sobie, że już mnie więcej nie zobaczy. Druga rozmowa byłaby beznadziejna, co do wyniku dla mnie. Spałem na dziedzińcu. W baraku przerobionym ze starego młyna, było tłoczno, smrodliwie i „sama podłoga chodziła”. Rano zobaczyłem kolumnę naszych przygotowaną do wymarszu. Podeszedłem do drutów i z rozmowy dowiedziałem się, że idą na roboty, dokąd, nie wiedzą. Rozchyliłem druty, przełazłem i stanąłem w szeregu. Pomaszerowaliśmy na stację kolejową. Nikt mnie o nic nie pytał.

Wydano nam żywność na 2 dni, załadowano na pociąg i pojechaliśmy.

Odetchnąłem, opuściwszy przekłety obóz, czułem, że teraz jakoś sobie radę dam. Po kilku godzinach pociąg zatrzymał się nad Niemnem na stacji Mosty. Mieliśmy za zadanie wyciąganie części żelaznych mostu z wody, wysadzonego, przez nasze wojska odchodzące. To już coś, o czym mam pojęcie, wydawało mi się. Właśnie, że nie miałem pojęcia. Bez maszyn, bloków itp. przyrządów, trzeba było wyciągać bloki żelaza wagi kilku ton. To było ponad ludzkie siły. Wszyscy zaczęli markować, ale to trwało do czasu. Zaczęto ludzi bić. To już gorzej. Jakoś dzień przeszedł. Pod wieczór podeszedł do mnie stary chłop brodaty, cywilny i powiada: „Ej ty pan, co ty tu robisz, to nie na twoje siły. Ubiut jej Bogu. A małośmy już tu pochowali? Ty uciekaj pan dalej” – opowiadał mi, że jest już kilka tygodni, przysłany z Rosji przymusowo jako cieśla, że zna okolicę, bo chodził po żywność i że to są polskie kolonie parafii w Szczuczynie, gdzie jest ksiądz, jeśli go jeszcze bolszewicy nie zabrali. Dał mi informację, co do kierunku i radził nie czekać, a iść, choć dziś w nocy. W prawdomówność starego nie miałem powodu wątpić, informacje jego były nad wyraz cenne. Przygotowań i pakowania nie potrzebowałem. Była to NIEDZIELA 15 SIERPNIA. Był to oczywiście przypadek, ale dziś jak wspomnę te chwile, to mam wrażenie, że jakaś błogosławiona ręka krokami memi kierowała.

W obozie było dwóch osobników, o których mówiono, że są oficerami w przebraniu. Podeszedłem i powiedziałem im, że dziś w nocy uciekam, może by skorzystali z mego towarzystwa. Bardzo niegrzecznie i opryskliwie podziękowali, oświadczając, że jest to, w najlepszym razie szaleństwo, którym oni udziału brać nie chcą.

Noclegi były w wagonach. Warty chodziły wzdłuż długiego pociągu, wyjście więc nie przedstawiało trudności i można było być niezauważonym. Noc jasna gwiazdzista. Księżyc wschodził późno.

Wysunąłem się z wagonu, koledzy spali i poszedłem w kierunku na wieś. Należało się wystrzegać spotkania z konnymi patrolami. Po pewnym czasie zauważyłem za sobą sylwetki ludzi idących od strony pociągu. Padłem na ziemię. Moje „cienie” zbliżyły się. „Panie niech się pan nie boi, to my posłyszeliśmy, że pan dziś w nocy ma iść i postanowiliśmy iść razem”. Byli to młodzi chłopcy, uczniowie. Dałem im informację i w znacznych odstępach od siebie maszerowaliśmy dalej, ogrodami za wsią. Aby dostać się do lasu, a tam już

bezpiecznie. W pewnej chwili usłyszałem stuk kopyt końskich, przypadłem do ziemi pod jakimś krzakiem. Słyszę rozmowy po rosyjsku, widzę sylwety jeźdźców. To patrol kozacki. Prawie otarli się o mnie. Odjechali. No teraz już dobrze, śmiałym krokiem do lasu. Spotkaliśmy się wszyscy szczęśliwie. Przed nami była długa jesienna noc. Drzemiąc, doczekaliśmy się świtu, by przejść chyłkiem do Szczuczyna i dostać się do stodoły na probostwie. W sianie i słomie można było rozprostować nogi i zagrzać się. Poseł wysłany na plebanie przyniósł jedzenie, wiadomość, że proboszcza aresztowano, potwierdzenie wszystkich informacji starego Moskala i prośbę, by jak najprędzej ze stodoły wiać, gdyż gospodyni obawia się w każdej chwili rewizji. A szkoda, bo chciałoby się tak, chociaż z dzień odpocząć, po przebytych trudach i wrażeniach. Teraz trzeba było iść dniem, a spacer we czterech był niemożliwy. Musieliśmy się rozejść i więcej już moich przygodnych towarzyszy nie widziałem, a było mi ich żal, bo bardzo mili chłopcy. Unikając dróg, dotarłem pod wieczór do majątku Jeremicze i przez pomyłkę zaszedłem do dworu. We dworze rezydował Żyd arendarz, który ugościł mnie, a tymczasem posłał po chłopów i kazał mnie aresztować. Zapadała noc. Dwóch chłopów miało mnie odprowadzić do gminy, odległej o kilka kilometrów. Idziemy, w lesie zaczynam pertraktacje, grożę, że mam ręczny granat, dość na tem, że uwierzyli, czy też uwierzyć chcieli, ale mnie puścili i rozeszliśmy się w zgodzie. Teraz już wiedziałem dokładnie, że Jeremicze są rozparcelowane na hutory, których jest siedem, z czego sześć jest w polskich rękach, a jeden należy do Litwina. Tę noc spędziłem jeszcze w lesie, by rankiem wczesnym zająć na pierwszy hutor Pawłowicza. Przyjęto mnie dobrze, ale poradzono iść dalej, do niejakiego Michała Jaroszewicza, człowieka nieżonatego, którego ziemie sąsiadują z lasem, co ułatwia w danym razie ucieczkę. Istotnie Jaroszewicz przyjął mnie serdecznie, rozgościłem się w chałupie, i zostałem zaliczony w poczet jego rodziny, składającej się z ojca staruszka i dwóch sióstr.

I teraz dopiero się rozkleiłem, nerwy opadły, poczułem ból w nodze, stale się zwiększający, żołądek wypowiedział posłuszeństwo, słowem rozchorowałem się ciężko. Na nodze utworzył się wrzód. Mowy nie było, aby dostać jakiś środek leczniczy, albo opatrunkowy. Zdany byłem na jakąś „zamawiaczkę” i naturę. Po tygodniu do wsi zwalili się bolszewicki żołnierze z rozbitych pułków pod Warszawą. Zrobiło się ciasno. Pan Michał dostał ich 10 na kwaterę. Chłopi denuncjowali, że u Michała siedzi polski pułkownik, trzeba było iść dalej. Wywędrowałem do lasu w błota na wysepkę, gdzie była kryjówka 20 naszych chłopców, którzy tam od paru miesięcy siedzieli, byli zagospodarowani mieli broń, a nocą chodzili kraść chłopom kartofle. Było mi wszystko jedno, ogarnęła mnie apatia, żyć mi się nie chciało. Zacząłem łązić po lesie i tam spotkałem się i poznałem ważną figurę, bolszewika, byłego katorżnika, który mieszkał u Michała. Z nim i pod jego protekcją wróciłem do chałupy Michała i znów zamieszkałem, już bez obawy.

Przez 6 tygodni byłem gościem, niezbyt pożądanym, Michała. Nie mam słów uznania dla odwagi i poświęcenia tego przygodnego przyjaciela, gdzie każdej chwili groziła nam śmierć. Chłopi rozwścieczeni z powodu szkód

w polu, formalnie zwalali wszystko na Michała i pewnego dnia, gromadnie przyszli na hutor z żądanie wydania mnie.

Ja byłem wtedy ciężko chory. Uratował nas mój „przyjaciel” bolszewik, mówiąc, że on odpowiada za ten dom, w którym mieszka. I gdy zdawało się, że wszystkie złe siły sprzysięgły się przeciwko mnie, zabłysło słońce. Rano, gdy wyszedłem na dziedziniec – usłyszałem grę armat. Dzień po dniu, co dzień wyraźniej, bliżej. Poczułem, że siły mi wracają, uświadomiłem sobie – „że chcę żyć”.

Pewnego dnia bolszewicy zniknęli. Odeszli nocą ubrani w swe nowe umundurowania, zdobyte w Polsce, damskie kapelusze i kościelne ornaty.

Pamiętam przyszedł dzień, kiedy słychać było strzały karabinowe. Wszyscy chłopcy z wysepki przyszli już jawnie do nas. Było nam lekko i wesoło.

Aż w pewnej chwili zajeżdża furmanka z naszymi żołnierzami. Przyjechali się aprowizować. Znalazły się pochowane po piwnicach zapasy. Przyjechali z 1. Dywizji Legionowej. Szła w bojach w kierunku na Nowogródek. Lida była już przez nas zajęta. Ja zabrałem się do Nowogródka, z nadzieją spotkania znajomych, chłopcy pomaszerowali do Lidy.

Pożegnanie z Michałem i jego rodziną było serdeczne. Przyznaje się do tego, że niczym nie byłem w stanie się wywdziżyć temu człowiekowi. Był kilkakrotnie moim gościem, wystarałem mu się o odznakę, ale przecież to wszystko jest niczym w porównaniu z jego bezinteresowną ofiarą.

Czy warto pisać o tem, że moje cierpienia długo jeszcze trwały. Cóż znaczą niedociągnięcia czasu wojny, w możliwości dania żołnierzowi pomocy sanitarnej, której tak bardzo potrzebowałem.

W ciągu tygodnia nielegalnie byłem w Warszawie.

Legalnie trwało by to dwa razy dłużej. Cóż po mnie było na polu walki, kiedy byłem chory. Zresztą było już zawieszenie broni.

Tak skończyła się moja niesławna przygoda wojenna. Dała mi dużo wrażeń, które starczyły na całe życie. Pozwoliła poznać życie od tej drugiej strony, czego przedtem nie miałem możliwości. Dała mi poczucie spełnionego obowiązku w granicach, na jakie mnie było stać. Nie poczuwam się do żadnej zasługi. Takich jak ja były tysiące, dzięki którym nawała bolszewicka została, na razie, odparta. Wielu przypłaciło to życiem. Ja tylko nad-szarpanym zdrowiem.

W świetle zmagają obecnej wojny to tylko mały fragmencik, o którym właściwie nie warto pisać.

Warszawa w kwietniu 1944 r.

Bibliografia

J. Lisiecki, *Kronika z dni mojej młodości*, Warszawa, marzec 1944 r., niepublikowany maszynopis.

J. Lisiecki, *Rok 1920*, Warszawa, kwiecień 1944 r., niepublikowany maszynopis.